

TYGODNIK ILLUSTROWANY.



N^o 186.

Prenumerata w Warszawie:
Rocznie rsr. 8, półrocznie rsr. 4, kwartalnie rsr. 2,
miesięcznie kop. 67 i pół.

Warszawa 18 kwietnia, 1863r.

Prenumerata na prowincyi i w Cesarstwie:
Rocznie rsr. 12, półrocznie rsr. 6, kwartalnie rsr. 3
Koperta oddzielna 2 rsr. rocznie.

TOM VII.

TREŚĆ NUMERU.

Henryk Marconi (z drzeworytem). — Kronika tygodniowa. — Kościół w Wilanowie (z drzeworytem). — Typy ukraińskie: dziewczęta z okolic Czehryna (z drzeworytem). — Fata-Morgana (wiersz). — Jarema (dalszy ciąg). — Przegląd polityki zagranicznej. — Rozmaitości. — Szczątki zamku w Przedborzu (z drzeworytem). — Szachy. — Rebus.

Henryk Marconi.

(Wspomnienie pośmiertne.)

W czasach kiedy miano obywatela kraju było u nas uważanem jako wysokie dostojenstwo, godność tę udzielało cudzoziemcom za ważne tylko zasługi oddane krajowi, a imię zapisane w pamięci obywateli, przekazywało potomności pamięć tego, co pierwszy w swym rodzie na zaszczyt taki zapracował. Dziś indigenat zapisuje się we wdzięcznej pamięci, a nagrodą pożytecznie spędzonego żywota, jest cześć i uznanie ogółu. Dla złożenia takiego to hołdu zasłudze, podajemy tu wizerunek i życiorys znakomitego artysty, co opuściwszy rodzinną ziemię, przez lat 42 pracował niezmiernie w kraju naszym, który nazywał drugą ojczyzną swoją i któremu poświęcił wszystkie swe siły i zdolności.

Ś. p. Henryk Marconi urodził się w Rzymie dnia 7 stycznia 1792 roku. Ojciec jego, budowniczy i zarazem malarz fresków kościelnych i dekoracji scenicznych, wstąpił się wielą dziełami wykonanemi w końcu zeszłego i na początku bieżącego stulecia, a następnie objął katedrę ornamentyki w akademii sztuk pięknych w Bolonii. Tu pod kierunkiem ojca, młody Henryk odebrał początki wychowania, a poczuwając od dzieciństwa zamiłowanie do zawodu w którym ojciec jego pracował, z niezwykłym zapałem oddawał się rysunkowi architektonicznemu, kształcąc się na wzorach mistrzów szkoły włoskiej. W roku 1806 wszedł do uniwersytetu bolońskiego i równocześnie uczęszczał do akademii sztuk pięknych, a po dwukrotnym egzaminie, otrzymał w r. 1810 dyplom na inżyniera i architekta. W roku 1811 rząd ówczesny przeznaczył dziewiętnastoletniego architekta na profesora rysunku do liceum w Lugo. Tu w ciągu swego pobytu odbudował kościół św. Polita i przerobił kilka pałaców; lecz pomimo to iż władza zadowolona by-

ła z jego działań, po czterech latach opuścił stanowisko profesora, pragnąc poświęcić się wyłącznie architekturze. W tym celu powrócił do Bolonii i począł próbować sił swoich, ubiegając się o pierwszeństwo w konkursach, skutkiem czego w przeciągu trzech lat otrzymał trzy premja, przyznane sobie przez senat akademicki. Wszystko to jednak nie

niach politycznych, sztuka pozostawała w uspieniu. Zanim się jednak odważył na ten krok stanowczy, udał się do Rzymu, aby tam jeszcze zaczerpnąć sił u najdawniejszego i najobfitszego źródła sztuki. W rok po przybyciu do Rzymu, otrzymał premium na konkursie ustanowionym przez sławnego Canovę.

Wtenczas właśnie hr. Ludwik Pac starał się, za pośrednictwem sekretarza akademii św. Łukasza, o zdolnego architekta, któryby chciał udać się do Polski, dla wzniesienia mu pałacu i innych budynków. Wybór padł na Marconiego, jako na zwycięzcę konkursowego. Młody też architekt, widząc w tém urzeczywistnienie swych marzeń, chętnie przyjął uczynioną sobie propozycją i w lecie roku 1822 przybył do Warszawy, żądając niezwłocznie udać się do Dowspudy, rezydencyi Paca, w Augustowskim. Tu zastał już na gruncie wykonaną większą część fundamentów, założonych podług planu architekta Bosio, który stosując się do życzenia hrabiego, zrobił projekt w stylu gotyckim. Styl ten mało jest uprawiany we Włoszech; Bosio też nie rozwiązał należycie swojego zadania. Widząc to, Marconi całemi siłami oddał się pracy, a posiłkując się znakomitym zbiorem wzorów gotyckich z biblioteki hr. Sierakowskiego w Warszawie, starał się gmach wzbogacić, uszlachetnić, chociaż zmuszony był trzymać się w części pierwotnego zarysu, z powodu wykonanych już fundamentów. Lubo sam nie był zadowolony ze swego dzieła, zadowolili jednak hrabiego, gdyż rzeczywiście pałac tak zewnątrz jak wewnątrz uderzał wspaniałością i bogactwem umiejętnie użytym. Dziś, po przejściu Dowspudy przez różne koleje wypadków, ogromny ten pałac do szczętu jest zniszczony, jak gdyby był średniowiecznym zabytkiem. Równocześnie w tych samych dobrach i w okolicy Marconi wykonał dwa kościoły i inne budowle, prawie wszystkie w stylu gotyckim.



HENRYK MARCONI. (Rysował Polkowski, z fotografii Beyera).

zdołało go zadowolić: gorąca żądza budowania, nie zaś samego projektowania na papierze, nasuwała mu zamiar szukania szerokiego pola działań, choćby gdzieś daleko od ojczyzny, w której po silnych wstrząsieniach

czuł się w swoim żywiole, nie będąc już kępowanym w życiu stylu klasycznego. Pałac ten, ukończony w r. 1828, należy do największych i najpiękniejszych gmachów w Warszawie, i w nim Marcon najsilniej uwydatnił pierwo-

ne swoje wyznaczenie wiary artystycznej. Wykształcony na wzorach klasycznych i mając w świeżej pamięci zabytki starożytnej architektury, zachował wtedy jeszcze tę surowość stylu, którą w późniejszych pracach jego widzimy złagodzoną studiami dzieł z czasów odrodzenia i własnym jego poglądem estetycznym.

Dawszy się chlubić poznać z prac swoich, Marconi zwrócił na siebie uwagę rządu i publiczności. Wkrótce też, bo w roku 1827, przyjęty został do ówczesnej komisji spraw wewnętrznych i policji w stopniu budowniczego i odtąd uczestniczył we wszystkich niemal ważniejszych pracach około robót publicznych, mających związek z jego zawodem. Obok czynności wykonywanych z polecenia rządu, jakoto: budowy kościołów, ratuszów, szpitali, więzień i t. p., od czasu osiedlenia się w Warszawie do ostatniej chwili życia, Marconi zajmował się licznymi bardzo robotami powierzanymi sobie przez osoby prywatne, a doszedłszy prędko do znakomitej wziętości, przybrać musiał odpowiednią pomoc. Nie posiadał wtedy kraj nasz żadnego zakładu specjalnie w sztukach pięknych kształcącego; zmuszonym więc był własnymi siłami przysposabiać sobie zastępców, czyli przyjmować do swęj pracowni ludzi początkujących i uczyć ich dopiero architektury. Tym sposobem pracownia Marconiego stała się szkołą dla młodzieży pragnącej oddać się budownictwu, a że miał bardzo rozległą praktykę, więc też w pracowni jego kształciło się ciągle po kilkunastu młodych adeptów sztuki. Tu właśnie jest najważniejsze pole zasługi zmarłego artysty; w ciągu swęj praktyki przygotował w ten sposób całe nowe pokolenie architektów, którym chętnie oddawał wszystko to, co zdobył przez pracowite studia i wrodzonym talentem rozwijał. Śmiało też powiedzieć można, że Marconi pozostawił po sobie nie tylko gmachy pod jego kierunkiem wykonane, ale nadto zaszczylił w kraju naszym gruntowne pojęcia o architekturze i zapewnił nadług przewagę stylowi, który będąc opartym na stałych i racjonalnych zasadach, zabezpiecza sztukę od zbroceń.

W kilka lat po otworzeniu warszawskiej szkoły sztuk pięknych, a mianowicie w roku 1851, powołany w nią został na profesora architektury, którą wykładał przez lat sześć, oddając się nienowemu dla siebie powołaniu nauczycielskiemu z całym zamiłowaniem. W krótkim też czasie postawił swój wydział na stopie odpowiedniej przynależności szkoły, wprowadził bowiem systematyczny kierunek nauczania, rozpoczynając kształcenie uczniów od ścisłych zasad stylu klasycznego, na podstawie którego następnie starał się rozbudzić fantazją do samodzielnych pomysłów.

W roku 1857 wyjechał dla odwiedzenia swoich stron rodzinnych, które przed trzydziestą sześciami laty opuścił. Po trzymiesięcznym tam pobycie powrócił do Warszawy, odżywny widokiem pamiętek swoich lat młodocianych i arcydzieł sztuki; ale poufnie wyznał, że z radością powracał do kraju, z którym tak się już zbierał, że nawet Włochy wydawały mu się miejscem jakby obcym, gdzie nie mógłby nadług pozostać. Przywiązanie to jego do przybranej ojczyzny łatwo zrozumieć, gdy przypomnimy sobie, że przybył tu nie z tym zamiarem, z jakim nawidza nas wielu przybyszów, co pragnąc tylko zbagacenia się, uważają swój pobyt u nas jako chwilowy i rozwijają swą działalność tylko w kierunku widoków osobistych. Przeciwnie Marconi, idąc za popędem zamiłowania sztuki, w niej widział zawsze główny cel pracy swojej i przez nią pokochał ten kraj, co mu dostarczyło środków do osiągnięcia zamierzonego celu; przez pracę wreszcie i wzajemną pomoc wcielił się w nasze społeczeństwo, od którego nie oddzielał się, lecz owszem połączył się z niem nierzawsze, wychowując swe dzieci na przyszłych obywateli tego kraju, co go przyjął gościnnie.

W roku 1858, czując że siły osłabione wiekiem i pracą nie wystarczają mu na podolewanie obowiązkowi przywiązanemu do kilku razem urzędów, zażądał uwolnienia z komisji spraw wewnętrznych, gdzie był członkiem rady budowniczego i z profesury w szkole sztuk pięknych; uwolnienie to otrzymał, lecz zarazem rada budownicza zaprosiła go na członka honorowego, pragnąc nadal korzystać z jego nauki i doświadczenia. Oprócz urzędów zajmowanych w Warszawie, Marconi w roku 1848 został zaproszony na członka korespondenta akademii sztuk pięknych w Petersburgu; w roku 1860 rada centralna akademii sztuk pięknych w Bolonii mianowała go swoim członkiem, w roku 1862 otrzymał dyplom na członka profesora akademii św. Łukasza w Rzymie i w tymże roku wezwanie na członka rady wychowania publicznego w królestwie polskim.

Ze sztuką nie tak łatwo było rozstać się spraco-

wanemu artyście, jak z urzędami; pomimo bowiem ubytku sił fizycznych, umysł jego nie stracił nic ze swęj dzielności, a wyobraźnia zawsze świeża jak u młodzieńca, nasuwała mu coraz nowe pomysły, które pragnął urzeczywistnić. Nie ustawał też w pracy; ostatnia choroba i śmierć zaskoczyły go w trakcie wykonywania kilku znacznych gmachów. Umarł, zajmując się prawie do ostatniej chwili czynnościami swego zawodu, d. 24 lutego r. b.

Mając rozległą bardzo praktykę, Marconi usiłował równocześnie nabywać ciągle nowych wiadomości i kształcić swój smak już to przez podróże za granicę w celach naukowych, już też przez studyowanie dzieł poświęconych architekturze. I tak w roku 1836, kiedy ś. p. Piotr Steinkeller zamyslał o urządzeniu wodociągów w Warszawie, Marconi odbył z nim podróż do Anglii, w celu zbadania tam podobnych zakładów. Wykonanie ówczesnego projektu nie przyszło wprawdzie do skutku, ale przy studyowaniu robót inżynierskich, architekt nie zapomniał o budownictwie; zapytrzywszy się na piękne gmachy gotyckie w Anglii i na zachodzie stałego ładu, pogodził się z gotyckim stylem, a lubo zawsze przyznawał pierwszeństwo stylom wynikłym z klasycyzmu, jednakże ile razy widział odpowiednie temu warunki, z równą umiejętnością używał gotyku. W drugiej podróży w tym samym celu odbytej w roku 1854, skorzystał z wielu ulepszeń wprowadzonych w system budowania, przez używanie w znacznej ilości lanego żelaza i rodzaj ten konstrukcyi zastosował na wielką skalę przy budowie domów Grodzickiego na Krakowskiem-Przedmieściu, sklepu Lessera przy ulicy Rymarskiej, hotelu Europejskiego i t. p. Ile zaś pod względem estetycznym zyskiwał na ciągłym rozwijaniu swych pojęć, o tém najłatwiej jest przekonać się, porównując ważniejsze dzieła jego wykonane w pewnych odstępach czasu w Warszawie. I tak: w pałacu Paca przemaga surowość klasycznego stylu, traktowanego po Palladiuszowski; w kościele św. Karola Boromeusza i pałacu mniejszym hr. Zamojskiego na Nowym-Świecie, widać już wyłamwanie się z pierwotnych zasad klasycyzmu i swobodniejsze jego zastosowanie; w gmachu Towarzystwa kredytowego i w hotelu Europejskim znać zupełne przejście do łagodnych i wdzięcznych form odrodzenia sztuki; nareszcie kościół w Willanowie okazuje, że artysta doprowadził w umyśle swoim do harmonii majestatyczną powagę zarysów ogólnych i swobodną lekkość szczegółów.

Niepodobniestwem byłoby wymienić tu wszystkie budowle wykonane przez ś. p. Marconiego; musimy więc ograniczyć się na wspomnieniu tylko ważniejszych, lubo każde jego dzieło nacechowane jest głębią opracowaniem projektu i starannością w wykonaniu.

Samych kościołów postawił dwadzieścia kilka, a między temi najważniejsze: św. Karola w Warszawie, w Willanowie, w Giżach, w Wyróżbach i Niepokalanego Poczęcia w Warszawie (w trakcie budowy). Tu także zaliczyć można kaplice przy wielu kościołach i na cmentarzach postawione, oraz piękny pomnik gotycki, postawiony w Willanowie na pamiętkę Stanisława Potockiego. Z gmachów publicznych wykonał architektoniczne części wodociągów warszawskich, gmach Towarzystwa kredytowego w Warszawie (1), stacją główną drogi żelaznej warszawsko-wiedeńskiej, dawny gmach rządu gubernialnego w Lublinie, 7 ratuszów, 5 szpitali, między którymi największy szpital św. Łazarza w Warszawie (elewacja tego szpitala wykonana jest podług projektu p. Idzkowskiego), 11 więzień, a w tój liczbie rozległe zabudowania więzienne przy ulicy Dzielnej w Warszawie, wzorowo urządzone, tudzież podobne w Płocku i innych miastach prowincjonalnych. Pomędzy budowlami instytucyjowymi i stowarzyszeń prywatnych tak w Warszawie jak i na prowincyi, znaczniejsze są: zabudowania zakładu solnego w Ciechocinku; zakład wód mineralnych w Saskim ogrodzie; zakład kuracyi wodnej w Wierzbnie; hotel Europejski, gmach wzorowy tak pod względem estetycznym, jak również pod względem specjalnego urządzenia wewnętrznego i śmiałej konstrukcyi, w której zastowane zostały najnowsze odkrycia i ulepszenia; instytut moralnie zaniebanych dzieci w Mokotowie, ukończony w zeszłym roku, który obok wielkiej oszczędności i prostoty budowy, służyć może za wzór urządzenia zakładu podobnego rodzaju i nareszcie domy mieszkalne dla robotników w Warszawie (jeszcze nie ukończone), wykonane podług planów uznanych za najlepsze na konkursie w tym celu otworzonym i dla

(1) Rysunek frontu gmachu towarzystwa kredytowego wraz z opisem, podaliśmy wkrótce po ukończeniu budowy w N. 9 Tygodnika Ilustrowanego.

których Marconi odbył w roku 1862 podróż za granicę, ażeby zwidzieć podobne zakłady tam istniejące, Pałaców prywatnych jego budowy w Warszawie i w różnych okolicach naliczyć można kilkanaście, a między temi pałace Paca w Dowspudzie i w Warszawie, pałac hr. Augustów Potockich wewnątrz przez niego przerobiony i urządzony, pałac hr. Zamojskiego na Nowym-Świecie, hr. Stanisława Potockiego w Helenowie i wiele innych, których szczegółowo opisywać niepodobna, a z których każdy mógłby dostarczyć przedmiotu do obszernych opisów. Dwory wiejskie i pałacyki mniejszych rozmiarów, w liczbie około trzydziestu, stanowią zupełnie osobny oddział prac Marconiego. Tu rzadko występuje on z powagą surowego stylu, lecz swobodnie grupuje lekkie kształty zastosowane do potrzeb i miejscowości, a mając na względzie prostotę niezbędną w podobnego rodzaju budowlach, samem zestawieniem obok siebie proporcjonalnych kształtów wyrastających z planu, tworzy malowniczą całość. Domów wiejskich, czyli kamienic postawionych przez Marconiego w Warszawie samęj naliczyć można do trzydziestu na różnych ulicach. Najniewdzięczniejsze to zadanie dla artysty, w którym kępować się musi warunkami trudnymi często do pogodzenia z wymaganiami sztuki; mimo to jednak Marconi z wielką trafnością pokonywał napatykane trudności i niektóre z kamienic przez niego postawionych mają wysoką wartość konstrukcyjną i artystyczną. Do takich należą: dom Grodzickiego na Krakowskiem-Przedmieściu, bogato przyozdobiony, ze ścianą frontową złożoną z kolumn żelaznych; dom czteropiętrowy hr. Zamojskiego na Nowym-Świecie, imponujący swoją wielkością i pięknymi proporcjami; dom ze sklepem Lessera na Rymarskiej ulicy, należący do znakomitszych tego rodzaju urządzeń ostatnich czasów w wielu stolicach pobudowanych; sklepy domu narożnego naprzeciw banku, w których widzimy szczęśliwe zastosowanie stylu szlacheckiego i bogatego, do przeznaczenia budowli czysto utilitarnej; bazar na Granicznej ulicy, postawiony także ze specjalnym przeznaczeniem dla handlu, należący do liczby piękniejszych gmachów tego rodzaju w Warszawie, równie jak wielki dom mieszkalny p. Rapackiej na Sewerynowie; nakoniec dom, który ś. p. Marconi dla siebie przy ulicy Jerozolimskiej postawił, a który właściwie pomiędzy wille zaliczonym być może. Okazuje on, że artysta budując dla siebie, trzymał się tych samych zasad, jakimi powodował się w innych pracach swoich, to jest postawił nie kamienicę mającą za jedyny cel jaknajwyższy procent, lecz łącząc względy praktyczności z poczuciem piękna, przyozdobił tę część miasta budowlą godną artysty.

Oprócz wspomnianych wyżej robót, Marconi przyczynił się także do ulepszenia i podźwignienia wielu gmachów w Warszawie i na prowincyi, przez gruntowne ich wyrestaurowanie, lub zmianę niektórych szczegółów. Tak n. p. wyrestaurował kościół pp. witytek, pałac w Jabłonnie, zakład starców i kalęk w Górze Kalwaryi, urządził schody ogniowtrwałe w obu teatrach warszawskich, przerobił salę teatru Romaitości i t. p.

Ze śmiercią jego pozostało, jak wspomnieliśmy, kilka ważnych robót nieukończonych, a mianowicie: dwa kościoły w Willanowie i Warszawie na placu Grzybowskim; dwie te świątynie zmarły artysta ze szczególnym wypracowaniem zamiłowaniem i z tęp zadowoleniem, jakie w pracy swęj niezawsze znajdował, sięgając ciągle myślą naprzód po coraz wyższe pojęcia estetyczne. Oprócz tego prowadził budowę dwóch domów dla robotników i dwóch prywatnych domów mieszkalnych przy ulicach Mazowieckiej i Królewskiej w Warszawie. Prace jego w ten sposób przedwczesnie osierocone, zwłaszcza dwie pierwsze, poniosły w tęp stratę niepowetowaną, trudne to bowiem zadanie zastąpić Marconiego, który przez rozległą naukę i długoletnie doświadczenie, łączył w sobie wszystkie przymioty potrzebne artyście przy wykonywaniu dzieł podobnych; lecz spodziewać się można, że posiadając szczegółowo wypracowane projekta zmarłego, przy odpowiednim zasobie talentu i wiadomości, następcy jego zdołają godnie wywiązać się z obowiązku jaki wkłada na nich wysokie znaczenie robót przechodzących pod ich kierunek i zaszczytne dziedzictwo otrzymane po zmarłym artyście.

Oprócz wspomnianych gmachów, postawionych podług projektów i pod kierunkiem Marconiego, pozostał po nim znaczny zbiór planów niewykonanych, między którymi jest wiele ważnych bardzo i pięknych pomysłów, jak n. p. dwa projekta nowego teatru przy Saskim placu, premiiowany projekt pałacu Saskiego tamże, kilka projektów instytutu szlacheckiego, kościoły, pałace, domy miejskie, łazienki, pralnie publiczne i t. p. Spuścizna taka po artyście nie powinna zostać nieznaną; dlatego rzucamy tu myśl,

żeby towarzystwo zachęty sztuk pięknych, porozumiały się z rodziną pozostałą po ś. p. Marconim, urządziło na jakiś czas wystawę pośmiertną prac jego w podobny sposób, jak to miewa miejsce w stowarzyszeniach zagranicznych. Taka wystawa byłaby i uczczeniem pracy zmarłego, i mogłaby przynieść korzyść dla naszych architektów, którzy jednomyślnie przyznają Marconiemu wysokie stanowisko w swej sztuce.

Z dzieł naukowych wydanych przez Marconiego wyszły w roku 1837 porządki architektoniczne, nader pożyteczny zbiór podręczny zasad architektury klasycyzm, ornamenta starożytne i zbiór jego projektów architektonicznych wydany w roku 1845, a zawierający małą tylko część ogólnego zbioru. Życzyłoby należało, żeby który z pp. nakładców postarał się o kompletne wydanie projektów Marconiego, które gdyby zostało dopełnionem pod kierunkiem kogoś kompetentnego, mogłoby stać się bardzo pożytecznym dla ogółu i zapewnić nawet wydawcy odpowiednią korzyść. Dotychczas biblioteki specjalne architektów zawierają się tylko wzorami zagranicznymi, które rzadko bardzo dają się zastosować do miejscowych warunków; przez wydanie zaś projektów obmyślanych pod wpływem tych właśnie warunków, przechowałyby się i spożytkował owoc moralnej pracy, wspartej talentem i doświadczeniem, z kąd wypłynęłaby z pewnością niemała korzyść dla budownictwa krajowego.

Kronika tygodniowa.

Kochany kronikarzu!

Od pewnego czasu niekontent jestem z ciebie. Nie wiadomo dlaczego, ale psujesz mi się widocznie. Czytywałem dawniej z zajęciem twoje kroniki, i jakkolwiek od kilku tygodni zmieniłeś zupełnie sposób ich pisania, (do czego, nawiasem mówiąc, sam się w ostatniej kronice przyznajesz) czytam je jeszcze ... z przyzwyczajenia. Kilka było niezłych; ale zato ostatnia — niechże cię nie znam za tę ostatnią! Zamiast podać do wiadomości naszej jakikolwiek wypadek, a choćby i plotkę, jak zacząłeś rozumować i moralizować, tak to trwało bez końca i miary. Czytelnicy tego nie lubią, a wierzą mi, mówi ci to jeden w imieniu wielu. Czytelnicy lubią rozmaitość; przeplatanie przedmiotów, a mianowicie i przedewszystkiem żeby była treść jakaś; nagie zaś moralizowanie bez treści, nuży i nudzi zawsze. Nie potrzebuję ci dowodzić jak bardzo w wielu razach forma wpływa na rzecz. Ja naprzykład, biorąc twoją kronikę do ręki, przerzucam ją przedewszystkiem oczami, czy znajdują się w niej owe króseczki (—) znamionujące rozmowę. Jeżeli są, dobrze już to mi wróży o twojej pracy, bo przeczuwam że będzie w niej rozmaitość, a przynajmniej zajęcie; jeżeli ich niema, niechętniej daleko biorę się do czytania i najczęściej przecucie mię nie myli. I nie tylko wyłącznie do kroniki uwaga ta da się zastosować: i powieści którym braknie tych króseczek, są zazwyczaj nudne, bo autor rozwodzi się z opisami, a akcy wprowadza mało. A więc zwracaj trochę uwagi na formę swojego pisanie i na usposobienie czytelników, którzy szukają w kronice rozrywki, jeżeli już zbywa jej na wiadomościach bieżących. A zresztą i dla czegoż choć trochę tych wiadomości bieżących nie miałbyś podawać? W takim miesiącu jak Warszawa zawsze coś się wydarza, a przytęm sam twierdzisz, że otrzymujesz dość często korespondencje; więc jeżeli nie ta, to owa dałaby się podać w treści. Wierzą mi, kto szuka, ten znajdzie. Chciej więc to moje zdanie wziąć pod rozwagę i strzeż się nadal tej Charybdy moralizowania, na której najrzęczniejsi pisarze karki kręcili.

Twój przyjaciel
N.

Przedewszystkiem muszę tu oświadczyć wszem w obec, że przykro mi iż na podpisie nie mogłem wyrazić nazwiska mojego przyjaciela, który łaskawie tak zdrowych rad mi nie skąpi. Gdybym znał jego podpis i adres, prosiłbym go zaraz ażeby mi wskazał te przedmioty, fakta i plotki, których opisywanie ma dodać zajęcia mojej kronice. Rzeczywiście, otrzymuję niemało listów; i donoszą one o wielu rzeczach; ale brak im właśnie tego zajęcia, które mi mój przyjaciel jako warunek konieczny sprawodawczego rzemiosła zaleca. Żeby jednak przekonać, że to nie jest złą wolą z mojej strony, przytoczę niektóre z tych korespondencji, o ile to się da, a czytelnicy sami osądzą. Oto list pierwszy.

„Wiedząc jak chętnie zwykłeś wyprowadzać na światło i czcią otaczać (rumieniem sie!!!) każdą myśl

zdrową, a nawet każdą chęć pocziwą, chociażby nie zamienioną jeszcze w uczynek, przystępuję śmiało do oznajmienia ci faktu, rzeczywiście godnego uznania i poparcia wyższych umysłów (to ma się znaczyć czytelników Tygodnika Ilustrowanego), lubo dotychczas niewspomnianego przez żadne z pism publicznych. Wiadomo wszystkim jak liczne i słuszne dają się słyszeć skargi pomiędzy zamożniejszą klasą mieszkańców naszego miasta, na brak zdolnych, a nadewszystko sumiennych służących. Słuszność tych skarg i użaleń spowodowała właśnie kilka znacznych i dobrze myślących pań do założenia tak zwanych szkółek niedzielnych w rozmaitych punktach miasta, gdzie od godziny 4tej do 7mej, jako w chwilach wolnych od wszelkiego domowego zajęcia, każdej niedzieli wszystkie służące dobrej woli mogą się zgromadzać na nauki stosownie do pojęć ich udzielane. Przedsięwzięcie to niezgorzdy już się nawet powiodło, bo warszawskie Towarzystwo Dobroczynności przyjęło pod opiekę pomienione szkółki, panie nasze chętnie spieszą z pomocą tym co je uprzedziły w zbawiennym pomysle, a uczennice, dotychczas wprawdzie niezbyt liczne, ale bardzo chęciwie światła i nauki, chętnie gromadzą się w izbach szkolnych. Kto wie? wszakże powiedziano jest: „kto garstką ziemię nosi, góry się doczeka;“ może też te pocziwe trudy zostaną uwiecznione poprawą obyczajów i zamiłowania pracy w owej tak licznej klasie kobiet, które dotąd nie pojęły swojego przeznaczenia i tułają się po manowcach błędu, zamiast iść prostą drogą obowiązku i sumienia. Nie wiem co na to powiesz, panie kronikarzu, ale przecież dotąd nikt jeszcze nie dowiódł, ażeby światło i ciepło miały być szkodliwymi jakiegokolwiek, choćby najmniej szlachetnej roślinie.“

Ani myślę zbijać twojego twierdzenia, szanowna korespondentko, (bo zapewne należysz do tej płci, przeciwko której Juwenalis wyrzekał, a którą Legouvé wynosił pod obłoki). Instytucja o której mi donosisz nader jest dobrą i użyteczną, założenie jej przyszło w samą porę i radbym ażeby wszystkie panie, a raczej wszystkie służące nabyły przekonania o jej potrzebie. Chciałbym tylko, żeby w tych szkółkach przez dobroczynne opiekunki założonych, dokładnie wyluszczenie sługom jakie to są ich obowiązki i w jaki sposób wypełniać je należy, stanowiło najważniejszą część wykładu. Jak się nauczą uważać pracę za pierwszą konieczność życia, to w ślad za tem pójdzie i umoralnienie. A przytęm wiele dziewcząt, godzących się do usług, ani wyobrażenia nie ma o zatrudnieniach jakie im wypełniać należy i za które im płaca. Nie wątpię więc, że praktyczne obznajmianie z temi wszystkimi zajęciami gospodarskimi należy także do nauk tam wykładanych. Wszakże urządzone za granicą zakłady tego rodzaju dostarczają nam w tym względzie najlepszych wzorów.

„Donosisz nam o jasnowidzących, o zjawiskach magnetyzmu zwierzęcego, o nadzwyczajnościach różnych, pisze do mnie inny korespondent, tak iż niektórzy nawet posadzają cię że ideami mistycznymi chcesz ludziom przewrócić w głowie. Otóż ja pragnę cię uwiadomić o fakcie mającym także pewną styczność z temi wszystkimi sprawami, chociaż w wyniku swoim niezupełnie może zgodnym on jest z twoim sposobem zapatrywania się. Ale trudno, trzeba przyjąć rzeczy jak są.“

W tych dniach, po kilkotygodniowej słabości, umarła tu pewna pani, której konanie przez trzy dni niemal trwało. Były to trzy dni strasliwego cierpienia dla męża i całej rodziny, którzy wiedzieli że niema już żadnego ratunku, a zmuszeni byli patrzeć na srogie męczarnie umierającej, nie mogąc jej żadnej ulgi przynieść.

Jak się jednak często zdarza w świecie, do tego dramatu wmieszala się scena komiczna, której ja byłem świadkiem, i *de visu et auditu* donoszę ci o niej. Powtarzam, że sam widziałem i słyszałem, takim bowiem rzeczom trudno zaiste uwierzyć.

Na dzień przed śmiercią owej damy, kiedy już wiadomo było że doktorzy żadnej nie czynią nadziei, zgłosiła się z odwiedzinami pewna jej znajoma, z którą chora dość rzadko komunikowała się dawniej.

Mąż i siostra nie chcieli wpuścić tej pani do pokoju umierającej, ale ona upominała się o to koniecznie, zapewniając, że ma pilny interes.

— Zmiłuj się pani, mówił mąż, moja żona niezdolna jest ani słyszeć pani, ani jej odpowiedzieć. A przytęm doktorzy zalecili, ażeby nikogo nie wpuszczać.

— Ale ja muszę z nią się zobaczyć koniecznie, nalegała odwiedzająca.

— Niepodobna pani, niepodobna. A zresztą, jeżeli sprawa istotnie tak pilna jak pani utrzymujesz, racz mi się z niej zwierzyć. Gdyby było koniecznym uwiadomić o tem moję biedną żonę, będę czekał na pierw-

szą chwilę przytomności, która może powróci, i sam jej to powiem.

— Ręczyś mi pan za to?

— Powtarzam, że przyrzekać tylko mogę warunkowo; w tej chwili bowiem wszystko co ja albo pani moglibyśmy powiedzieć, byłoby zupełnie straconem. Zareczam pani, że niechy z tego nie rozumiała.

— No więc zwierzę się panu, rzekła nareszcie przybyła, ale pamiętaj pan, żeś mi dał uroczyste przyrzeczenie powtórzenia tego żonie.

— Słucham panią.

— Jak pan wiesz, mąż mój nieboszczyk umarł kilka lat temu. Kochałam go nad życie i pamięć jego wiecznie mi jest przytomną. Słyszałam że są tak szczęśliwe osoby, które się komunikują z duchami zmarłych drogich sobie osób, sama jednak, pomimo najszerszej chęci, nigdy tego nie doświadczyłam. A jednak pragnęłabym choć raz jeszcze za życia ujrzeć męża mojego, zanim się z nim na wieczność połączę, i dlatego, wiedząc o tem że kochana Emilka jest bardzo niebezpiecznie a nawet śmiertelnie chora, chciałam ją prosić, jeżeli przeznaczonem jej jest przeniesie się do wieczności, żeby oświadczyła mężowi mojemu o tem żądaniu i prosiła go o uczynienie mu zadość. To tylko jedynie chciałam jej powiedzieć, a teraz proszę pana ażebyś raczył mnie wyręczyć w tej mierze.

Możecie sobie wystawić osłupienie męża i innych słuchaczy, przed którymi owa dama wcale się nie tała ze swojem żądaniem.

Jeszcze raz powtarzam, że wypadek ten jest prawdziwy, i sądzę że można go przypisać napływowi książek mistycznych z zagranicy tutaj przybywających, oraz manii przywoływania duchów, która ogólnie panowała u nas jak i w reszcie Europy kilka lat temu, a i teraz liczy jeszcze pomiędzy nami wielu zwolenników. Owa pani widocznie była stroniczką tych doświadczeń *spirytualnych*, ale dziwną dla odbycia ich obrała sobie drogę.

FATA-MORGANA.

W stepach Sahary powolnie kroczy
Zbłąkany pielgrzym — w stepach Sahary.
Wtém cudny widok olśni mu oczy,
Dziwne, nadziemskie otoczą czary:
Na niebios kraju oazis błyska,
I ujrzał pielgrzym na niebios kraju
Wody zdroj szklany, łąkę, pastwiska,
Ludzi drzemiących w palmowym gaju.
Piaszczysta fala już go nie wstrzyma,
Sił mu dodaje piaszczysta fala,
Lecz próżno goni, śledząc oczyma,
Czarowny obraz wciąż się oddala.
Gną się kolana, żar usta pali,
Szał go ogarnia, gną się kolana,
Bo w jednej chwili zniknęła w dali
Fata-morgana.

Po drodze życia, cierniem usłanej,
Wlece się człowiek — po drodze życia,
Wybladły, tęskny, smutkiem złamany,
Westchnieniem serca zagłusza bicia.
Splakane oczy wznosi do góry,
Szukając czegoś splakane oczy;
Łzawa żrenica przebija chmury —
Więc się rozwiły — i człowiek zoczy
W niebios lazurze precudny wieniec
Z kwiatów nadziei — w niebios lazurze.
Wznosi dłoń swoje... biedny szaleniec!
Wianek utonął znów w czarnej chmurze,
Trwoga nieznana serce załala,
Miota nieszczęsnym trwoga nieznana...
Piorun uderza tam, gdzie jaśniała
Fata-morgana.

Młode pachole tęskno wciąż marzy
I smętnie duma — młode pachole;
Uśmiech jak fala igra po twarzy,
A myśl jak ptaszę gnieździ się w czole.
Ostre spojrzenie utkwiał daleko,
Przeszywa obłok ostre spojrzenie,
Lecz nieruchomą patrzy powieką,
Aby nie pierzchył czarowne cienie.
Szczęście złudzeniem! wie to pachole,
Serce mu szepta: „Szczęście złudzeniem!
„Gdy piersi krzepną, cieni dlonie kole,
„Cierpienia ukój w niebo spojrzeniem;
„Z niebios widziana, w niebo ujeta,
„Nasza ziemica z niebios widziana,
„Oto poezya wielka i święta,
„Fata-morgana!“

Seweryn Zaleski.

KOŚCIÓŁ W WILLANOWIE.

W miejscu gdzie obecnie wznosi się wspaniała świątynia, której widok zewnętrzny tu podajemy, przed sześćdziesiąt laty jeszcze istniał w Willanowie niewielki kościółek, wzniesiony w końcu zeszłego wieku, a mogący pomieścić zaledwie kilkaset osób. Obecna dziedziczka Willanowa, hr. Augustowa Potocka, postanowiwszy własnym kosztem wystawić kościół w rodzaju dawnych fundacyj, co do dzisiaj świadczą nam o wielkiej pobożności i szczodrości ojców naszych, czynność tę powierzyła ś. p. Marconiemu, pozostawiając mu zupełną swobodę w wyborze stylu i szafunku kosztu. Znany powszechnie z prac swoich artysta nie zawiodł położonego w sobie zaufania; kościół przez niego postawiony śmiało stanąć może obok najcenniejszych świątyń w kraju naszym, a nawet bez uprzedzenia przyznać trzeba, że należy do najpiękniejszych kościołów z pomiędzy tych, które w naszych czasach w różnych krajach zostały pobudowane.

Pozostawiając ściany okólne dawnego kościoła i sklepienie na nich oparte, Marconi użył ich za środkową nawę, a dodając dwie nawy mniejsze przy dwóch bokach podłużnych, oraz środek przykryty wielką kopułą, dwie kaplice prezbiterium, zakrystyą ze skarbcami i oratorium dla kollarów, a z frontu dwie wieże i wielką niszę z galerią między wieżami, powiększył powierzchnię kościoła o tyle, że dziś pomieścić może do 1200 osób w samych nawach i pod kopułą, a przybudowane części ustawił w ten sposób, że utworzyły w górze kształt krzyża łacińskiego.

Styl w którym kościół z o s t a ł wzniesiony jest renaissance włoski, zastosowany do stylu pałacu willanowskiego, z tą tylko różnicą, że styl kościoła należy do epoki wcześniejszej niż styl pałacu, wpadający już nieco w barocco.

Dla dania wyobrażenia o rozmiarach kościoła, przytaczamy tu główne ich cyfry, a mianowicie: długość od wejścia do wielkiego ołtarza łokci 63, szerokość trzech naw razem wziętych łokci 32, wysokość od posadzki kościoła do krzyża na kopule łokci 64.

Budowa rozpoczęta w roku 1857, postępowała szybko, gdyż w roku 1860 mury, sklepienia, kopuły i wszelkie inne części konstrukcyi zostały wzniesione, zewnątrz i wewnątrz otynkowane, a gzymsy i wszelkie ozdoby z kamienia, cementu i gipsu skończone, tak iż pozostają do zrobienia już tylko wewnątrz posadzki, malowania sklepień, ołtarze, organy i t. p.

Oprócz tego kościół otoczony został naokoło parkanem murowanym, ze stacyami w rodzaju kapliczek, które służąc do processyj nazewną kościoła, większej dodają okazałości głównej budowie.

Zarząd w miejscu i wypracowanie szczegółów tej budowy, zostawały pod kierunkiem p. Jana Heuricha, b. ucznia warszawskiej szkoły sztuk pięknych; robota organów o 24 głosach powierzona została p. Mielczarskiemu; rzeźby i obrazy do ołtarzy wykonali artyści polscy bawiący w Rzymie; posągi wreszcie i płaskorzeźby przyozdabiające kościół od wewnątrz,

wyszły z pod dłota warszawskich artystów, po większej części byłych uczniów szkoły sztuk pięknych. Tak więc cała ta świątynia wzniesiona i przyozdobiona będzie przez samych krajowych robotników i artystów i z krajowych materiałów, a dziś, kiedy w większej części już jest ukończoną, możemy cieszyć się nadzieją, że pozostanie chlubnym w przyszłości świadectwem naszych czasów.

JAREMA,

studjum

Z WEWNĘTRZNYCH DZIEJÓW GALICYI,

przez

Jana Zacharyasiewicza.

(Dalszy ciąg.)

I tak szczęśliwie wszyscy zaszli do dworu. We dworze przyjęto gości, jak polski obyczaj kazał. Była herbata i zrazy z kaszą, ulubiona potrawa Amtdi-

śli mleka dziecku dać nie może, to mu obiecuje. Machiawel powiada, że jeśli czego dać nie można, to trzeba obiecać. Huber jest człowiekiem bez najmniejszej nauki. W drodze lubi jeść chosnek, co mi robi niedobrze. Panna Nowowiejska ma szafirowe oczy. Wolę Götthego niżli Schillera. Historia Rotteka jest zanadto jednostronna. Gdybym był starosta, panna Nowowiejska musiałaby być moją żoną, i nie bałbym się „Nowejgóry“ wtedy... Jarema ist ein Mordkerl. Z dniem jutrzejszym będzie mi się należeć 27 fl. m. k. za diety. Kommissya może jeszcze potrwać dwa tygodnie. Mam moralne przekonanie, że Żyd ukradł, ale pan kommissarz nie kazał na niego naciskać. Pan kommissarz jest człowiekiem sumiennym; nie chce on nieszczęścia drugich. Żyd ma najlepsze mięso na cały obwód.... W herbacie było dużo rumu.... Coś mi się oczy kleją.... Panna Nowowiejska....

Na tem kończył się dzienniczek koncept-praktykanta obwodowego.

Amtdiner Huber, zachęcony słowami swego przełożonego, kazał sobie lokajowi dać arkusz białego papieru i próbował także na nim skreślić myśli i wrażenia

dnia dzisiejszego. Po kilku przemazanych słowach i trzech żydach, napisał Huber:

....Szczęście wielkie, zem dzisiaj karku nie złamał. Głupia ta Nowagóra. Moja żona jest dziesięć lat starszą odemnie, a Babetta ma lat osnaście.... Powiniennem zawsze tę Nowagórę omijać. Dziś mi Pan Bóg darował, mam kark cały i zebra całe. Zrazy polskie były przesolone. Kasia pokojówka ma czarne oczy. Landsdragon Hans pożyczł u mnie brzytwy, która mnie kosztuje dwa cwancygiery. Chłopi nie lubią dziedzica, bo na niego robić muszą. Powiedziałem wójtowi, że jak będą co mieli na dziedzica, to niech przyjdą do Hubera, a Huber zaprowadzi ich do starosty, gdy będzie w dobrym humorze. Zrazy były przy-



KOŚCIÓŁ W WILLANOWIE. (Rysował na drzewie Cegliński, z natury T. Heppen).

nera, który w kredensie dziwy rozpowiadał o swoim zaszczytnym urzędzie.

Wieczorkiem siadł gospodarz do zielonego stolika i przegrał do urzędnika w halbe zwölfe dziesięć zlr. monetą konwencyjną. Urzędnik mniemał, że dzisiaj miał szczęście szczególne, a szlachcic uśmiechał się z ukosa do żonki i córki, które ten uśmiech jego doskonale rozumiały.

Około północy pisał urzędnik w swoim dzienniczku:

....Ich muss mich üben in der Landessprache. (1) Panna Nowowiejska jest bardzo ładna. Wår ich Kreishauptmann... Mam lat dwadzieścia i pięć, ona ma piętnaście. Polska szlachta jest dobra i dobrze myśląca, gdyby tylko emmissarysze jej nie bałamucili. A lud polski ślepo oddany rządowi. Niedziw, rząd go proteguje, bo tak być powinno. Jarema ist ein Mordkerl! Muszę pamiętać o nim. Pastuchy mają własne swoje zwyczaje i obyczaje. Jest w nich wiele poezyi, ale zdrowych, rzeczywistych pojęć bardzo mało. Lud polski jest dzieckiem jeszcze. Kto temu dziecku da mleka i papki, za tym pojdzie. Piastunka, je-

dymione, kinkowa nieszczęśliwa.

Tutaj koniec dzienniczka Amtdinera, bo olbrzymia plama atramentu usiadła na drodze, jak góra św. Antoniego przed wozem sołtysa Jędrzeja.

Jarema tymczasem leżał w piekarni na piecu i przewracał się na wszystkie boki. Nie mógł na żaden sposób usnąć. Najrozmaitsze obrazy przebiegały mu przed oczyma. Widział jasnowłosą Nastusię, ale złotego ptaszka już nie było..

Skoro świt, obudził go pokojowiec zachmurzony i wezwał przed dziedzica.

II.

Bohater upada, ale idea tryumfuje.

Pokojowiec Szymek był przybłądą i nikt w gromadzie nowowiejskiej nie wiedział zkąd się wziął i gdzie się rodził. Pan Nowowiejski przywiózł go pewnego razu z miasta obwodowego, w obdarty kubaraku, i oddał go lokajom do obmywania talerzów. Z tej to przyczyny gromada Nowejwsi nie miała do niego szczególnego nabożeństwa i w gorętszym usposobieniu nazywała go *znajdą*. Ale Szymek, jak każdy przybłądą, co to nie zna ni ojczyzny, ni rodziny, miał spryt niepospolitą i przebiegłość, umiał się wszy-

(1) Muszę się doskonalić w języku krajowym.

stkim przypochlebić i wszystkich ująć. Mianowicie umiał korzystać z swego wyjątkowego we wsi położenia, które pozwalało mu, jako słudze dworskiemu, odznaczać się najrozmaitszymi błyskotkami. Toż na jego czapce, na świecie i hajdawerach jaśniało mnóstwo szychu i pasów karmazynowych, z czego był dumny, jak sułtan z koloru zielonego. Według jego wyobrażeń, a może nawet i pewnych doświadczeń, należał mu się przed wszystkimi przywilej przypodobania się dziewczętom nowowiejskim, czegoby nikomu innemu nigdy nie odstąpił.

Zachmurzony więc zbliżył się do pieca i szturchnął kulakiem Jarema, w którym widział prawdopodobnie rywał swego, tak co do lask pańskich, jakotóż i ładnej pleci miejscowej. Jarema uczuł na widok zachmurzonego pokojowca jakąś dziwną bojaźń, ale dalekim był od tej myśli, jaka właśnie zaprzętała w tej chwili Szymka. Jarema stanął tylko na oczach ów duży kij, którym pokojowiec wczoraj tak zamazyszczył wywijał, a który jeszcze dłuższy był od kija opiekuna....

Ale niedobre Jaremy przeczucia nie spełniły się. Dziedzic Nowejwsi łaskawie z nim rozmawiał, wypytywał go o różne rzeczy i w końcu oświadczył mu, że go w służbę przyjmuje, a jak się dobrze będzie sprawował, obiecał mu to wynagrodzić, tak jak Bóg i dawny obyczaj przykazał. Pan Nowowiejski bowiem należał jeszcze do tej niewielkiej już liczby obywateli naszych, którzy lubią sługę od młodu sobie wychować i do swego domu przywiązać.

Z wielkiem nieukontentowaniem powziął tę wiadomość wszechwładny dotąd pokojowiec Szymek, który mimo młodsze go swego wieku, umiał panować i nad starym kucharzem, i nad jeszcze starszym ogrodnikiem. Najwięcej zaś bolała go myśl, że Jarema będzie takie same, a może jeszcze i lepsze ozdoby co i on nosił, bo pan Nowowiejski zaraz po konferencji z Jarema kazał zawołać Żydka, nadwornego krawca, aby Jarema liberyą sporządził.

Jakkolwiek dobre obejście się pana Nowowiejskiego mocno Jarema pocieszyło, to przecież myśl o liberyi jakoś niemile go dotknęła. Nie mógł on sobie zdać sprawy z tego niemitego uczucia, ale tak było w istocie. Nieraz miewał na sobie kaftan w kawałki podarty, obsyty łatanami ze wszystkich stron, świecący strzępkami najrozmaitszej formy; nieraz przeglądały mu włosy przez słomiany kapelus, ciało nagie wyglądało dziurami koszuli; nieraz miał nogi pokrzwawione od cierni i kamieni rzecznych; mimo to jakieś nieprzyjemne owaładnęło go uczucie, na widok liberyi szychem wyszytej, chociaż ona wszędzie była cała i wcale z dobrego sukna piaskowego koloru.

Przyuczony jednak od dziecka do ślepej uległości, włazł biedny Jarema w liberyą, którą Żyd naprędcę trochę podciął, włazł aż po same uszy, a nawet i te musiał przykryć czapką z czarnej ceraty, z szychowym galonkiem. Nieudolnym a nawet śmiesznym musiał się wydawać Jarema w tej swojej transmutacji,

bo Szymek zaczął się śmiać z całego gardła i wszystką czeladź zwołał, aby należycie wyszydzić nowego dworskiego rekruta. I śmieli się też wszyscy, ile sił starczyło, śmieli się szczerze i serdecznie, bo Jarema w samej rzeczy nader komicznie wyglądał. Szeroką opaloną pierś scisnął mu kubrak piaskowego koloru, z dużymi mosiężnymi guzikami, zapięty aż pod brodę. Spodnie były tegoż koloru i zwęzły się ku stopom naksztal kamaszy. Pod kolanem była przepaska z białego szychu, która go widocznie cisnęła i wolny ruch nogi tamowała. A gdy do tego dodamy grube trzewiki, jakich nigdy w życiu nie miał jeszcze na nogach Jarema i czapkę z ogromnym lakierowanym dnem, która cały kark jego przykrywała,—to przyłączymy się niezawodnie do śmiechu całej czeladzi, która w Jaremie widziała niedźwiedzia, co mu nagle przemysłny Niemiec żelazny pierścień przez nos prze-

orangutanga udatnemi swemi ruchami i pewną gracją w noszeniu liberyi. Przybłąda bowiem tak jakoś przyrósł do tej liberyi, że mu wcale nie zawadzały ani opięte kamasze, ani ciasna szychowa przepaska pod kolanem, ani go nie gniół kubrak migdałowego koloru, zapięty sztywnie aż pod samą brodę. Umiał się jakoś ruszać swobodnie w tym służalczym mundurze, był giętki i zwinny w tej szychami obszytej skorupie.

Jarema nie widział jednak różnicy między sobą a Szymkiem. Miał taki sam prawie kubrak co i tamten i takie same spodnie, z szychową pod kolanem przepaską. Dziwiło go to, że czeladź tylko z niego się śmiała, a w ubiorze pokojowca niczego śmieszniejszego nie dostrzegała. Widział on w tém krzyżącą niesprawiedliwość świata, ale do takiej niesprawiedliwości był już od najmłodszych lat przyzwyczajony i westchnął tylko do Boga, aby kiedyś odplacić się mógł temu niesprawiedliwemu światu.

Alę jak wszystkie dolegliwości w życiu ludzkim mijają, tak i to minęło. Pokojowca odwołano na pokoję, na czeladź dworską wpadł ekonom z batem, że próżnuje i bez celu śmiechy wyprawia, a biedny rekrut dworski został sam jeden w kredensie, aby nad nowym swoim położeniem należycie rozmyślać.

Widząc tutaj cały swój świat zamknięty w cztery brudne ściany kredensu i płaską powalę z góry przygnieciony, zaśmiał się Jarema i smutno spojrzął po swojej liberyi. Członki jego jakoś dziwnie skostniały i zgrubiały. Nie mógł się ani ruszać, ani postąpić jak dawniej, gdy był pastuchem na wielkiej zielonej błoni. Najprzód przyszedł mu na myśl pokojowiec, a czoło jego zmarszczyło się. Mimo wiedzy wcisnęło się w jego serce jakieś nieprzyjemne dla Szymka uczucie. A gdy potem w myślach swoich dalej się posunął, ujrzał przed sobą owego urzędnika, który niby był jego protektorem, a właściwie wprowadził go w to nowe, niezbyt przyjemne położenie. I właśnie chciał sobie o tym urzędniku coś pomyśleć, kiedy drzwi kredensu się z łoskotem otworzyły, a na progu pojawił się Amsdiner Huber.

— No ty Jarema, zawołał Amsdiner, co ty tak nos na kwintę spuścił? he? Ja i pan kommissarz już jedziemy precz. Podaj ognia do fajki.

Jarema na gołej dłoni przyniósł mu żarzący węgiel z kominka.

— Co ty Jarema, mówił dalej Huber, to ciebie nie piecze?

— Choć piecze, ale cóż robić, odparł Jarema, słuzić trzeba.

Mimo głupich, wolicz oczu swoich, spojrzął jakoś roztropnie na niego Huber i rzekł po chwili:

— Jesteś bardzo mądrym człowiekiem, Jarema. Zapisz to sobie dzisiaj do dzienniczka. Służba przedewszystkiem. Mnie nieraz także piecze i boli, ale cóż robić? Kto chleb daje, dla tego niech piecze i boli. Chleb, to grunt wszystkiego na świecie.

Jarema patrzył na Amsdiner, jakby tych filozo-



TYPY UKRAIŃSKIE. DZIEWCZĘTA Z OKOLIC CZEHRZYNA. Rysował z natury Przyszychowski).

wdzieje. Swobodny w ruchach i ładnej budowy, przedzierzgnął się nagle w orangutanga i drażnił wszystkich do nieustającego śmiechu kędzierzawym łbem swoim i wystraszoną, dziwnie pomarszczoną twarzą.

Doskonale pochwyił ten moment naszego bohatera przebiegły pokojowiec Szymek, aby go w oczach świata nowowiejskiego raz na zawsze śmiesznym uczynić. Była to pierwsza przegrana Jaremy w tym nowym epizodzie jego życia.

Śmiała się z niego kucharka i pokojówka, śmieli się kucharz i ogrodnik, śmieli parobcy i dziewczki mleczne. Szymek z miną faryzeusza obracał go na wszystkie boki, niby mu poprawiając kubraka, a tymczasem czynił go tylko śmiesznym w nieudolności jego. Pokojowiec spostrzegł wkrótce, że Jarema nie tylko szkodzić mu nie może w zakresie pleci nadobnej Nowejwsi, ale przeciwnie, odbijał on od tego

ficznych aforyzmów wcale nie rozumiał. Chleba dworskiego jeszcze wprawdzie nie jadł, a chociaż dziedzic bardzo po ludzku z nim sobie postąpił, zatuszował jednak do swego pastuszego kaftana i do kapelusza słomianego.

— Słuchaj Jarema, mówił po chwili Huber, poprawiając ogień w fajce, podobalesz się mnie i panu kommissarzowi, a to już wiele znaczy. Kommissarz obiecał cię do siebie wziąć, jak zostanie starostą, a ja mogę już wtedy być kancelistą. Nim to jednak nastąpi, mówię ci, jeżeli chcesz aby ci się dobrze powiodło na świecie, to patrz zawsze na tego, co ci chleb daje; rób wszystko co on robić każe, a nie pytaj nigdy dlaczego. Jak tylko raz się zapytasz dlaczego? to już pierwszy krok do biedy. Jam był czternaście lat żołnierzem, to wiem jak być powinno. Słuchać a nie rezonować, ani gęba, ani w duchu.

Rzekłszy to, poklepał Jaremę ręką po głowie, z powagą protektora, jakby go chciał bierzmować na przyszłe burze żywota, i odszedł.

Taki był pierwszy poranek tego nowego epizodu w życiu Jaremy. Nastąpił drugi, trzeci i dziesiąty, a nie szczególnego nie zaszło.

Jarema pełnił rozkazy drugich, a wszystko co żyło w piekarni rozkazywało mu. I powoli przyzwyczajał się do dworskich, a dworscy do niego, i byłby może nazawsze utonął w fali czasu i historii świata, jako sługa kredensowy, gdyby okazana już w pierwszym rozdziale skłonność do jasnowłosej Nastusi nie była go wplątała w szereg szczególnych sytuacji.

Zaraz w niedzielę po niesporach zaszła ważna zmiana w jego życiu. O tym czasie zwykli byli wieśniacy tłumnie zgromadzać się w karczynie u rudego leka i zabawiać się konwersacją przy kieliszku wódki. Młodzież zaś, która nie miała przystępu do karczmy, roiała się w okolo cmentarza i wyprawiała z dziewczętami różne figle.

Jarema wyrobił sobie za pośrednictwem córki dziedzica, która mu wielce sprzyjała, mimo kradzieży kanarka, że mu pozwolono pójść na tę poobiednią zabawę. Spodziewał się tam zastać Nastusie, a chociaż dzisiejszy ubiór niewiele obiecywał mu nadziei, jednak serce koniecznie do niej go ciągnęło. Do tego jeszcze dodawała mu otuchy ta myśl, że Szymek w takim samym mundurze miał szczególne u dziewcząt powodzenie, które na muzyce lgnęły do niego, jak muchy do miodu. Nie wiedział jednak iż dla Szymka była liberya jakby stworzona, czyli raczej Szymek był dla liberyi stworzony; umiał bowiem z taką fantazją stawiać nogi w kamaszach i tak zgrabnie w obertasie podrygiwać, że każda z ukosa zerkąca na niego i rada była choć słówko, choć jeden uśmiech od niego dostać. A Jarema tymczasem wyglądał w sutęj swojej liberyi, jak wół w złotęj karcie.

Otóż skoro się tylko okazał na cmentarzu, czy to już było tak ukartowane przez Szymka, czy tylko istny przypadek, dziewczęta poczęły się śmiać i wydrżniać biednemu rekrutowi dworskiemu. Spłonął gniewem Jarema, ale nie nikomu nie powiedział. Powiodło tylko okiem po grupach dziewcząt, szukając między nimi jasnowłosej Nastusi, i znalazł ją niedaleko siebie. Siedziała na murawie, a obok niej przykucał Szymek i oboje śmieli się z Jaremą.

Jarema ścisnął pięść i posiniał ze złości, ale dziewczęta tém więcej śmiały się z niego, a chłopcy zaniculi piosnkę humorystyczną:

Był Nikita u pana,
Mył talerze co rana,
Co południe w piecu palił,
Aż sobie włosy osmalil.
Hej Nikita, Nikita!
I ty tal i ty tal...

Jarema obrócił się i odszedł. Całą noc płakał, a gdy nazajutrz przed dworem się okazał, śmiały się z niego dzieciaki i dziewczęta.

Okropnym był dla Jaremy ten śmiech całego młodego pokolenia; a starsi potrząsali na to głową, mówiąc między sobą, że głupi Jarema rady sobie dać nie może, i że mu dlatego bardzo źle będzie na świecie. Na czem jednak ta rada miałaby zależeć, o tém mu nikt nie powiedział. A Jarema myślał i myślał, i nie mógł wymyśleć.

Ale przecież raz jednego przyszła mu dziwna myśl do głowy. Przyjechał do dziedzica z dalekich stron jakiś krewny. Zamiast wykarmazynowanego służącego, siedział na koźle rosy człowiek, z miną poważną, w stroju kozackim. A gdy Kozak na drugi dzień od służby się uwolnił i nieco do karczmy i na cmentarz między dziewczęta zajrzał, przyjęło go całe wiejskie towarzystwo z należytym uszanowaniem. Nikt sobie nie umiał zdać sprawy dlaczego to czyni, a jednak,

mimo całej pustoty młodych dziewcząt, które ze wszystkiego się śmiały, nie można było w Kozaku nic takiego zobaczyć, co by je do śmiechu pobudzić zdołało. Był to strój swojski, a chociaż w tej okolicy tak się nie ubierano, wiadano jednak że tam gdzieś dalej ku wschodowi mieszka lud, który mówi jakoś po bożemu, co każdy rozumieć może, a tak się ubiera. Ale takiego ludu jak Szymek i Jarema nikt nie znał.

Kozak bawił kilka tygodni w Nowejwsi i zawsze mile był widziany od całej gromady. Starsi wypytywali go jak tam ludziom na świecie, czy jest także pańszczyzna, czy takie same wysokie podatki, na które człowiekowi trudno się zdobyć, i czy panowie dobrze się z gromadą obchodzą. A dziewczęta mizdrzyły się do brodacza i pytały, czy tam młodyce takie same mają czarne oczy jak w Nowejwsi i czy także lubią wianki na wodę puszczać. Kozak muskał po czarnych wąsach i zerknął z ukosa na czarnobrewy, bo wszystkie jakoś zarówno mu do serca przypadły.

Widział to Jarema i myślał sobie:

— Gdybym zamiast obcisłych kamaszy, miał takie szerokie hajdawery, i zamiast tych guzików prosty pas czerwony, tobym może lepiej mógł się ruszać, a nawet Nastecę przypodobać...

I zaraz na drugi dzień po odjeździe Kozaka, za pośrednictwem panny Zofii, córki dziedzica, która darowała mu dawno kradzież kanarka z miłości przedsięwziętą, udało mu się wyjednać sobie w tym względzie posłuchanie u dziedzica, któremu z wszelką uległością przedłożył wniosek swój dotyczący zamiany liberyi.

Nieba sprzyjały Jaremie; dziedzic bowiem był właśnie w bardzo dobrym humorze. Ekonom przyniósł mu raport, że żytko korceje, że pszeniczka jest bardzo namlotna, a koniczyna więcej wydaje, jak się spodziewano. Do tego nadeszła jeszcze niby przypadkiem Zosienska i tak się serdecznie z tatuniem popieściła, że tatunio jaknajlaskawiej Jaremę wysłuchał i jego życzeniom zadość uczynić przyobiecał. Kozak stryjecznego jego brata bardzo mu się podobał, i nawet myślał o tém, kogoby to ze sług swoich ubrać w tak szerokie hajdawery.

Żydek Mechel, krawiec nadworny i pachciarz krów, wziął się zaraz do roboty, a w niedzielę paradował już uszczęśliwiony Jarema w granatowej krótkiej kurcie, przepasany pasem czerwonym, w hajdawerach tak szerokich, jakich w okręgu mil dziesięciu nie było. A gdy się na cmentarzu ukazał, już się nie śmiały z niego dziewczęta, tylko z ciekawością mu się przypatrywały. Nawet Nastusia jasnowłosa zamysliła się na chwilę, Jarema bowiem ruszał się jakoś daleko zgrabniej i swobodniej, a wewnętrzne przekonanie, że raz w życiu stało się zadość jego życzeniu, podniosło w nim wiarę w siebie i uczyniło go rozmownym, a nawet dowcipnym.

Ale Nastusia myślała sobie:

— Jarema chłopiec niczego. W ubiorze kozackim dosyć mu do twarzy. Ale Jarema jest i zostanie tylko Kozakiem; a Szymek ma łaskę u pana i umie się tak zgrabnie kręcić, jak to przy państwie potrzeba. Szymek może zostać kamerdynerem, będzie chodził w czarnym fraku i w białej chustce, a ja, gdy zostanę jego żoną, będę miała czépek i parasolkę zieloną. Wolę Szymka.

Jarema jednak nie wiedział o tym monologu Nastusi i obiecywał sobie złote góry. Ale wkrótce musiało nastąpić rozczarowanie. Nastka trzymała się Szymka jak dawniej, tylko teraz mniej śmiała się z Jaremą. I chłopcy więcej mniej się z niego śmieli, ale zawsze patrzyli na niego z góry, jak na człowieka który najmniejszego nie miał u nich znaczenia. Czy to w zabawach na cmentarzu, czy na muzyce, Jarema był zawsze ostatnim, i długo musiał się naprosić jakiejś młodycy, póki z nim odważyła się pójść w tany.

Za piecem w kredensie, gdzie sobie leżysko był uślał, rozmyślał często Jarema po całych nocach nad tém, z kąd to pochodzi, że tak upośledzonym jest między chłopcami całej gromady i że na względy jasnowłosej Nastusi niczem sobie zarobić nie może.

I tak mijały dnie i tygodnie, mijały miesiące i lata, a Jarema nie postąpił ani o krok dalej. Trzy lata przebył już ciężkiej służby; po całych dniach i nocach rozmyślał nad tém, co by go mogło między parobkami i młojcami gromady jakoś podnieść i do serca Nastki wkreślić, ale dotąd nie wymyśleć nie mógł. Wszystko cokolwiek przedsięwziął, chybiało celu, a biedny Jarema już począł na seryo tracić wiarę w siebie i w lepsze swoje przeznaczenie na tym świecie. Trzy lata minęły, i jakż dla niego zład rezultat? Oto w kredensie był prawie ostatnim, między młojcami ostatnim, a u Nastki — niczém!

Myśl ta, być wszędzie ostatnim, a tam gdzie chciał być jedynym, niczém... myśl ta zabijała go, nie da-

wała we dnie i w nocy spokoju. Posmutniał i stał się ponurym, co twarzy jego nadawało wyraz bardzo przykry. Do tego jeszcze widocznie Szymek postępował w faworach u Nastki: sama go szukała, chodziła wszędzie za nim, a nawet często gęsto przekraczała granice, jakie dziewczętom wiejskim z taką skrupulatnością wytyka zazwyczaj każda nasza gromada. Wszystko to jednak szło na karb blizkiego sakramentu małżeństwa, a stare kumoszki patrzyły jakoś przez palce na to.

Ale Jarema nie mógł na to wszystko tak spokojnie patrzeć. Największym dla niego wrogiem był Szymek. Jego twarz gładka i zawsze uśmiechnięta, była dla Jaremy nieznośnym widokiem. Zład często przychodziło między nimi do różnych poswarek, a nawet czasami poszturchali się nawzajem, przyczém Jarema najczęściej w ostatniej instancyi sprawę przegrywał, jeśli panna Zofia wcześniej o tém się nie dowiedziała. To rozjątrzało tylko Jaremę tém więcej, a czasami powstała nawet myśl w jego głowie, że dziedzie robi mu krzywdę, chociaż bardzo łagodnie z nim się obchodził.

Jedyną dla Jaremy pociechą był Amtsdiner Huber, który wśród tego czasu kilka razy do Nowejwsi zawitał. Huber pocieszał go swoim sposobem i radził mu, aby starał się dostać na chleb cesarski, bo ten jeszcze ze wszystkich jest najlepszy. Co pierwszego każdego miesiąca *wyfusuje* sobie człowiek swoje pieniądze i jest panem całą gębą. Czapkę nosi na barkier, i tylko przed starostą, kommissarzem i kancelistami musi się nisko ukłonić, a cywilnym ledwie głową kiwa. Tak mawiał do niego Amtsdiner, ale zaraz niemiłosiernie psuł mu rzucone przed oczy czarowne obrazy. Powiedział mu bowiem z westchnieniem, że to na zaden sposób być nie może, bo Jarema jest głupi chłop, cham, a tu potrzeba człowieka uczonego, lub przynajmniej takiego, jakim on jest, Amtsdiner Franz Friedrich August Huber.

Jarema zwieszał głowę w smutku, ale przecież jakoś mu lżej było przy Hubercie, który sam jeden znał jego tajemne cierpienie, bo w całej gromadzie nie było ani jednej duszy, którójby się mógł zwierzyć. Często w bezsennęj nocy migąła mu przed oczyma czapeczka Amtsdiner'a, a orzeł z rozpostartymi skrzydłami wydawał mu się jak ów ptak zbawienia, co znekąnym żeglarzom przynosi nadzieję blizkiego portu.

Lecz wkrótce zaszło w życiu Jaremy ważne zdarzenie, chociaż on sam o tém wcale nie wiedział.

Pewnej niedzieli spostrzegł stary kucharz, że Jarema, wylaząc z łózka, stąpił lewą nogą na podłogę.

Prócz tego opowiadała kucharka, że przed pacierzem naczco wymówił jakieś nieczyste przekleństwo, a gdy za panną Zofią niósł do kościoła książkę, potknął się w samych drzwiach kościoła i upadł jak długi. Dzwonnik znów ofiarował nawet przysięgę, że koło św. Antoniego, przy którym stał Jarema, zgasła nagle lampa, chociaż on z niej masła nie wybrał, bo właśnie dopiero wczoraj żona jego zrobiła masło... Słowem, mnóstwo rzeczy miało się stać tego dnia, a chociaż o tém dopiero nazajutrz mówić zaczęli, nikt jednak nie powątpiewał w całej gromadzie, że to wszystko było prawdą.

Otóż dzień ten miał być już z góry dla Jaremy fatalnym. Przy obiedzie pokłócił się z Szymkiem i pięścią mu pogroził. Po niesporach wyszedł na cmentarz, a widząc jak Nastka się serdecznie z Szymkiem bawiła, odwrócił się i w odwrocie uderzył niby przypadkiem Szymka po głowie. Szymek poczerwieniał ze złości, ale Jarema stał cichy i spokojny. Przeciwnik nie miał odwagi wziąć się do niego, bo twarz Jaremy była jakoś dziwnie zmieniona.

Wieczorem poszła młodzież na tany do karczmy. Szymek hulął i pił do upadłego — Jarema siedział w kącie i patrzył się.

Okolo północy wyszedł Jarema z karczmy, a stary Borys widział że nie poszedł do domu, tylko wszedł na ścieżkę ponad wysoki brzeg rzeki.

Wkrótce znikł i Szymek z karczmy. Wszyscy porozchodzili się do domów, a rudowłosej Icek zgasił świeczkę i położył się pod pierzynę.

Dopiero nad ranem przyszedł Jarema do kredensu. Miał ubiór zmoczony i włosy rozburzone — ale Szymek nie wrócił.

Nazajutrz dziwne wieści podawali sobie ludzie od ucha do ucha. Dziedzic zawołał Jaremę i długo z nim sam na sam rozmawiał. Ogrodnik opowiadał w sekrecie kucharzowi, że pan coś mocno był zamysłony po tej rozmowie i długo chodził między zagonami cebuli i maku. Za kilka dni przyjechał nawet mandatarusz (1) i coś z panem konferował. Ba, nawet umyślnie czy przypadkiem przyszedł piechotą Amtsdi-

(1) Sędzia.

ner Huber i zjadł we dworze cały talerz zrazów z kaszą i pół flaszki kminkówki wypił.

Jaremie jednak ani włos nie spadł z głowy, choć ludzie bardzo różnie o tém wszystkim mówili, choć nawet w kilka dni potem znaleziono nad wysokim brzegiem rzeki czapkę Szymka i potarganą chustkę z szyi.

Nastka płakała kilka dni i odgrażała się na Jaremę. Ale w niedzielę była już tak wesolą jak zwykle, a nawet weselszą. Jarema zbliżył się do niej i długi czas z nią rozmawiał. Ale Nastka śmiała się, a Jarema odszedł od niej z chmurą na czole.

Gromada i młodsza jej generacja przyjęła jakoś dośyc obojętnie całe to zdarzenie. Szymek był przybłądą, w gromadzie nie lubiono go, jako denuncyanta. Szymek bowiem wiedział, ile który drzewa w lesie ukradł, kto w nocy pasł konie na pańskiej łące, a co wiedział Szymek, wiedział i pan. Otóż nie miano wcale za złe Jaremie, że Szymek jakoś znikł bez śladu; byli nawet między gromadą i tacy, którzy to za zasługę Jaremie poczytywali. Nikt się jednak z tém w karczmie nie odezwał, bo Jarema niczem był w gromadzie i żadnego nie miał znaczenia; nie wypadło więc o tak niepoczesnej figurze rozprawiać, jak się rozprawia o porządnym gospodarzu.

Młodzież zaś gromady, nawet po tém szczególném zdarzeniu, nie zmieniła wcale swego zachowania się względem Jaremę.

Był on zawsze i wszędzie ostatnim. Upokarzano go i śmiano się z niego, a zdarzenie to dało nawet kilku molojcom powód do różnych przytyków, co Jaremę w wściekłość wprawiało.

Jarema był z tego powodu w humorze coraz gorszym. Ustawiczne drażnienie zmieniło prawie całą jego naturę. Z potrzeby zawsze uległy i niby pokorny, nie umiał już teraz panować nad sobą. Popuścił więc cugle namiętnościom: pił w karczmie i hulał, a kto mu słówko powiedział, zbil go na kwaśne jabłko.

Bitki te powtarzały się bardzo często: synowi wójta złamał żebro, Kubie wybił oko, Onufremu nogę przetrącił, a guzów i śinców narozdawał się co nie miara. Ktokolwiek bądź go wyzwał, brał się do niego, bez względu czy słaby, czy mocny i rosły chłop, a że się brał z wiarą w siebie i doraźnie, więc zawsze zwyciężał i każdego przeciwnika wzięł pod siebie.

I dziwne zrobił przytém doświadczenie. Molojce nowowiejscy, co to przedtém nosy do góry zadzierali i ciągle z niego drwili, gdy im porządnie wygarbował skórę lub żebro jedno złamał, przychodzili w kilka dni do niego jak baranki, starali się o jego przyjaźń, a nawet chętnie stawali pod jego rozkazy.

Synowie najbogatszych kmieciów wybierali go teraz za przewodnika, czy to do tańca, czy do jakiej wyprawy niedzielnej, czy też w osądzeniu niektórych spraw wewnętrznych. Słowem Jarema ujrzał się nagle pierwszym molojcem w gromadzie, a miał nawet nadzieję, że i jasnowłosa Nastka ulegnie temu urokowi. Cała bowiem młodzież nowowiejska uderzyła czołem przed fizyczną potęgą, jaką w ostatnich czasach rozwinął Jarema. Bitki, odwaga i szczęście w walce wysunęły go naprzód i w oczach młodszego pokolenia gromady otoczyły pewną aureolą...

I kto wie, czyby Jarema nie był w końcu dopiął celu najgorętszych marzeń swoich, czy nie byłby został pierwszym w gromadzie, a mężem jasnowłosej Nastusi, która już mizdrzyć się do niego zaczynała, — gdyby właśnie ta sama szczęśliwa gwiazda, która mu tę nową pogodną kwadrę w jego życiu zapowiedziała, nie była ogonem swoim zmiotła nagle wszystkich jego nadziei.

I tak u samej bramy szczęścia, gdy już ręką brał Jarema za klamkę, aby ją sobie otworzył, pochwycił go zły duch za kołnierz i na progu zatrzymał.

A biedny Jarema, który nagle jakby z nieba spadł na ziemię, nie miał nawet czasu ani zdolności po temu, aby się tém pocieszyć, że chociaż człowiek pod ciosami złych ludzi upadnie, idea jednak jaką niósł w sobie, może tém świetniej tryumfować. Wprawdzie wynalazł Jarema sposób, jak można między młodszą generacją gromady nowowiejskiej dobić się pierwszeństwa, ale cóż z tego, gdy mu furtki szczęścia nie pozwolono sobie otworzyć?...

III.

Maudataryusz.

Ta sama droga, która Jaremę prowadziła do upragnionej mety, odkryła mu nagle przepaść pod stopami. Nowy tryb życia jaki wiodł od pewnego czasu, a którym młodemu pokoleniu nowowiejskiej gromady tak mocno zaimponował, sprawił w innych sferach niebardzo miłe wrażenie. Częste bitki w karczmie, ustawiczne wyzywanie tych wszystkich, którzy się tylko do niego zbliżyli i jakaś buta nieodgadniona, któ-

ra nie wiedząc zkąd mu przyszła, odebrały mu we dworze tę wziętość, jaką miał zrazu z powodu swojej uległości. Do tego jeszcze przyłączył się nałóg pijactwa, w który widocznie coraz więcej brnął Jarema. A wszystko to nie obszło się bez zaniedbania służby, bez narażenia się temu i owemu we dworze.

Tę nagłą zmianę Jaremy różni różnie sobie tłumaczyli. Jedni wzięli ją za prosty wypływ pewnych wrodzie Jaremy tradycyji. Mówili, że ojciec Jaremy był pijakiem, a pijak pijaka rodzi. Drudzy sądzili, że Jarema się rozlajdaczył, z powodu nieszcześliwego swego afektu do Nastusi jasnowłosej, która jego zaloty wyśmiewała. A byli i tacy, którzy nieco głębiej po przyczynę sięgali i dzisiejszy tryb życia Jaremy wzięli za objaw wyrzutów sumienia, przyczém o zagadkowym zniknięciu Szymka szeroko mówiono.

I jak z jednej strony buńczuczne zachowanie się Jaremy do wielkiego w oczach molojców podnosiło go znaczenia, tak z drugiej stronnictwo dworskie patrzyło na niego z tego powodu coraz nieprzyjaźniej. Ślepy kucharz czuł mrowie w paciérzu, gdy Jarema wszedł do kuchni; zézo-oka kucharka w głos wyrzekała, że Jarema od niejakiego czasu ani jednego słodkiego słówka jej nie powiedział, a kulawy ogrodnik odmawiał co rano litanią do Najświętszej Panny, aby mu nie dała popaść w szpony Jaremy.

(Dalszy ciąg nastąpi).

PRZEGLĄD POLITYKI ZAGRANICZNEJ.

17 kwietnia.

Na posiedzeniu ciała prawodawczego w Paryżu, w dniu 10 b. m., odczytano dekret cesarski, przedłużający termin posiedzeń izby do dnia 30 kwietnia. Dzienniki wątpią czy zgromadzenie deputowanych zdola rozwiązać w tym przeciągu czasu wszystkie kwestye przez rząd przedstawione. Esprit public twierdzi, że w nowém ciele prawodawczém, ministrowie wydziałów sami bronić będą projektów rządowych. Zmiana ta, w razie jej urzeczywistnienia, byłaby istotnie pewnym zbliżeniem ku formom systemu parlamentarnego. Według ostatnich depesz z Meksyku, otrzymanych przez rząd francuzki, generał Forey, zaopatrzony w dostateczną ilość żywności, szturmować miał Pueblę w dniu 16 marca. Rezultat działań dotąd niewiadomy, przedwstępne przygotowania polegały na zajęciu doliny San Martin przez generała Bazaine, w zamiarze uсадowienia się między Cholula a Pueblą. Tym sposobem Francuzi obsaczyć mogą Pueblę od strony Meksyku. Jednocześnie z tym ruchem Bazaina, generał Douay wyszedł z Tepeaca i zajął Amozoc. Tak rozstawwszy swe siły, Forey szturmować zaczął Pueblę od strony bastyonu la Garita. Admirał Jurien de la Gravière ukończył lustracyą dywizyi morskiej i wraca do Francyi.

Kwestya holztyńska nowy przybrała obrót. Dekretem króla duńskiego Fryderyka VII, Holztyń otrzymał zupełną autonomią cywilną, polityczną i wojskową. Na nieszczęście rząd duński odłączył zupełnie Szlezwig, gdy tymczasem równouprawnienie właśnie Szlezwigu z Holztyńem stanowi oddawna główną podstawę działań niemieckich gabinetów w tej sprawie. Niemcy obawiają się o całkowite wcielenie Szlezwigu do królestwa duńskiego i zwracają w te strony baczną uwagę. Postępowcy izby poselskiej w Berlinie postanowili nawet na zebraniu w d. 14 b. m. zainterpelować gabinet w tej sprawie i wyjaśnić czy rząd pruski uważa ostatnie dekryty króla duńskiego jako pogwałcenie zobowiązań z 1852 r., i w takim razie, czy gabinet uważa się za uwolnionego od wszelkich zobowiązań i czy nie widzi potrzeby czynnego wystąpienia w obronie praw Szlezwigu. Z tém wszystkim dodać tu należy, że cała ta sprawa nie może naruszyć spokoju Europy. Rząd angielski, obok stosunków familijnych z Danią, przeciwny jest zdawna tym rozszczeniu, Francya zaś zawsze sprzyjała Dani w tej kwestyi. Pogłoski że gabinet duński wymaga poręczenia Szlezwigu i Holztynu, jako jednego z warunków przyzwolenia na kandydaturę grecką księcia Wilhelma, okazały się fałszywe. Rząd duński zawiadomił miał gabinet londyński, że warunki te dotyczą wyłącznie przyszłego położenia księcia, mianowicie zaś, aby zgromadzenie narodowe w Atenach teraz już uznało pełnoletność księcia, a faktyczna regencya powierzona została jednemu z jego stryjów. Tymczasem zgromadzenie narodowe w Atenach wybrało deputacyą, na czele której stoją pp. Bulgaris i Canaris, i ci powiozą koronę grecką do Kopenhagi.

Austryacka rada państwa zebrać się ma w dniu 6 maja; niewiadomo wszakże dotąd czy sejmy w Wę-

grzech i Siedmiogrodzie zwołane do tego czasu zostaną. Kwestya węgierska ani na krok jeden naprzód nie postąpiła, przyjęcie zaś przez cesarza dymissyi hr. Apponyi i mianowanie na jego miejsce hr. Andrassy, nie zapowiada bynajmniej bliższego pojednania korony z narodem. Presse wiedeńska donosi, że statut dla Wenecyi zostanie wkrótce ogłoszony, poczem nastąpi natychmiastowe zwołanie sejmiku weneckiego, który zajmie się obradami nad prawem gminowóm. Dzienniki przypuszczają, że nowe postanowienia względem Wenecyi, a nawet niejakie zbliżenie Austrii z Włochami, jest wynikiem negocyacyj pp. Arese i Ratazzi z cesarzem Napoleonem. Arcyksiążę Albert otrzymał nominacyą na feldmarszałka armii.

Sułtan bawi dotąd w Egipcie. Odplacając za doznana gościnność dowodami przyjaźni i życzliwości, sułtan unika wszystkiego, coby mogło w czémkolwiek poniżyć wice-króla, lub przypomnieć mu jego zawisłość od Porty. Dzienniki zapewnniają, że padyszach pragnie zapewnić sobie pomoc wice-króla i zamyśla nawet oddać mu wielkorządztwo syryjskie, pod pewnymi warunkami. Byłoby to istotnym dobrodziejstwem dla syryjskich chrześcian, energiczny bowiem zarząd wice-króla uwolniłby ich od okrucieństwa i zdrady niedołączonych baszów, sprzysięgłych wraz z imanami na życie i mienie chrześcianskie. Duchowieństwo tureckie w Syrii, wsparte tajemnym przyzwoleniem baszy Damaszk, postanowiło wymordować wszystkich chrześcian w niedzielę palmową. Na szczęście spiszek odkryty został przez jednego Francuza, a energiczne środki przedsięwzięte przez konsulów francuzkiego, angielskiego i hiszpańskiego, powstrzymały wybuch. Roboty nad kanałem suezkim idą jaknajpomysłniej, tak dalece, że za pięć miesięcy będzie można przepłynąć lekką barką przez kanał od morza Śródziemnego do Czerwonego.

Pośrednictwo francuzkie w sprawie amerykańskiej stanowczo odrzuconém zostało. P. Seward zawiadomił p. Drouyn de Lhuys, że rezolucya kongressu sprzeciwia się obcemu mieszanu się do spraw Stanów zjednoczonych, i że rząd waszyngtoński postanowił wszelkimi siłami dalej prowadzić wojnę. Tymczasem, działania rządu waszyngtońskiego bynajmniej nie są szczęśliwe. Wyprawa generała Banksa na Port-Hudson nie udała się, pomimo sumnych depesz i przechwałek. Banks chciał zająć silną pozycyą nad Missisipi, między Port-Hudson i Vicksburgiem a roztropne znalezienie się separatystów zmusiło go do powrotu do Baton-Rouge. Depesza z New-Yorku z d. 2 b. m. donosi, że separatysty posunęli się o 49 mil naprzód i zdobyli Murfreesboro. Banks powtórnie wyruszył ku Port-Hudson, dla złączenia się z Farragutem, i powtórnie do cofnięcia się przymuszonym został. Trzy kanonierki północne i jeden okręt zupełnie zniszczono w tej wyprawie. Pod Williamsburgiem w Wirginii ukazał się korpus dwudziestotysięczny separatystów. Federaliści odparci zostali pod Junction-Deep-Creek.

(Jour. des Deb. Ind. Bel. Schles. Ztg. Berl. Nach. France.)

Ostatnie depesze. Wiedeń 15 kwietnia. Dzisiejsza Wiener Ztg. zawiadamia, że rząd austriacki, bez wstępnych negocyacyj z Prusami i Związkiem niemieckim, zaprotestował w Kopenhadze przeciw dekretom z 30 marca, dotyczącym księstw.

Berlin 14 kwietnia. Kreuz Ztg. żąda współdziałania Austrii, Prus i Związku niemieckiego w kwestyi duńskiej.

Wiedeń 15 kwietnia. General Corresp. donosi z Rzymu, że prawdopodobnie nuncyusz papieżki w Wiedniu, mgr. Luca, zastąpi kardynała Antonelli. Rada stanu wiedeńska zwołaną będzie w połowie maja.

Rzym 13 kwietnia. Rocznica powrotu ojca św. z Gaty, obchodzoną była illuminacyami i zabawami publicznymi.

Marsylia 14 kwietnia. Królowa neapolitańska Marya Zofia przybyła tu. Przyjmowali ją konsulowie generalni: hiszpański i rzymski. Królowa udaje się do Rzymu.

ROZMAITOŚCI.

Mowa do najjaśniejszego królewicza Karola, po otrzymaniu przez tegoż inwestytury na księstwa Kurlandyi i Semigalii, przez inki księdza Ferdynanda Kieckiego, deputata z kapituły kujawskiej, od trybunału koronnego miana.

(Z rękopisu wspaniałego, pisownia dzisiejsza).

Najjaśniejszy królewiczu, panie nam miły i miłościwy. Po wiernej najjaśniejszemu panu naszemu miłościwemu uczynionej rekognicyi, trybunał koronny z powszechnego ukontentowania milczec nie może, gdy waszą królewską mość witam w tém królestwie, któremu najjaśniejszy pan nietylko

przez sprawiedliwe rządy jako monarcha, ale przez łaskawość jako dobrotliwy ojciec panuje.

Zapatruje się zrzemca wolności, trybunał koronny, w nadzieję przyszłych koron, do których waszej królewskiej mości wysokie talenta prawo nadają. Widzi w osobie waszej królewskiej mości wspaniałość umysłu, upatruje nie wysłowione przymioty, czyta z twarzy dziecinnie najjaśniejszego domu cnoty; słowem złączonych doskonałości istocie, pochwał i podziwienia odmówić nie może. Ztąd ta udzielona od najjaśniejszego majestatu stanowi szlacheckiemu prerogatywa, trybunał koronny, najdystyngowanisze w tobie najjaśniejszy panie z najgłębszym uszanowaniem adoruje godności; ztąd ta namiestnicza monarchy swego władza, swoje waszej królewskiej mości wiecznymi obowiązkami zniewolone submittuje serca.



SZCZĄTKI ZAMKU W PRZEDBORZU. (Rysował i rytował Fabijański.)

Naruszewicz, poświęcony Narodzeniu Matki Bożej, kiedy królowi będącemu w Przedborzu przyszła chęć polowania. Niektórzy radzili, aby dla uszanowania uroczystości na inny czas tę zabawę odłożył. Przyjęto radę i już powóz zaprzężony miał odchodzić: lecz jakiś niecnota odwrócił dobre przedsięwzięcie. Wyjechał król do lasów, a nazajutrz, gdy nieostrożnie skwapliwie po krzakach jelenia dojeżdżał, spadł z konia i ciężką ranę na lewym goleniu odniósł. Nawidzali to miejsce i król Władysław Jagiełło, który zamek rozprze-strzenił, i następcy jego, miłośnicy łowiectwa; ztąd był zawsze do tego celu przygotowywany i starannie utrzymywany. Zniszczyli go dopiero wraz z miastem Szwedzi, pod panowaniem Ja-

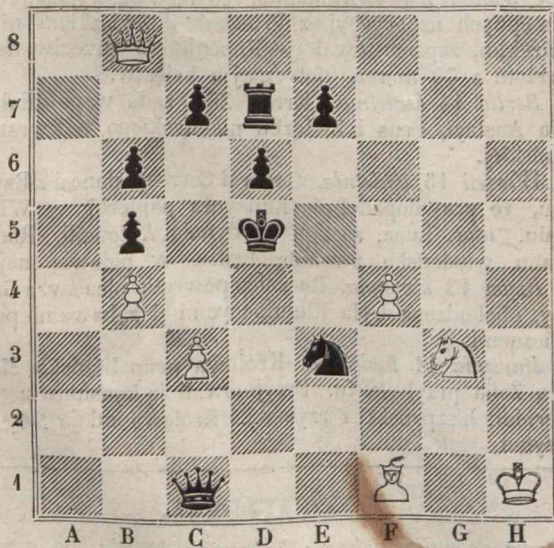
na Kazmirza, tak dalece, że lustracya z r. 1660 mury bez dachu, a pokoje bez okien i pieców zastała. Gdy zaś, pomimo nakazów danych starostom ze strony lustratorów, naprawą uszkodzeń się nie zajęto, zamek w Przedborzu do zupełnej nachylił się ruiny i dziś tylko z niego szczątki pozostały, tak jak na powyższym drzeworycie są przedstawione.

SZACHY.

ZADANIE CLI.

Białe zaczynają i dają mata za czwartym posunięciem, suwając tylko królową.

Czarne.



Białe.

Rozwiązanie zadania szachowego Nr. 150.

Białe.

Czarne.

- | | | |
|---------------------------|-------------------|------------------|
| 1) E 5—G 6 † | 4) H 7—G 6 biorą | } najle-
pij. |
| 2) C 1—H 1 † | 2) H 8—G 8. | |
| 3) C 4—F 4 | 3) E 2—E 1 królo. | |
| 4) E 6—D 7 † odkryty | 4) E 1—E 6 †. | |
| 5) A 2—E 6 biorą † i mat. | | |

Winszuję ci, najjaśniejszy panie, przez nas delegowany na trybunał koronny, ścielającej się do nóg twoich fortuny, która dopiero z powszechną wszystkich stanów radością, w zamian zasług twoich, łaski i dobrodziejstw od najjaśniejszego domu twojego na tę ojczyznę spływających, księstwa Kurlandyi i Semigalii, pod udzielną rządy twoje złożyła; przez co wierny stróż i nieomylny tłumacz praw koronnych, trybunał koronny, zapatrzywszy się na konstytucyą z sejmku ostatniego pacificationis 1736 r., z ukontentowaniem uznaje prawdy i sprawiedliwości publiczne przed światłem wyznaje, że księstwa które *vicissitudine fortunae* od tego królestwa nieco odchylone były, nie mogły nigdy ściślej i doskonałej z koroną polską i w. ks. lit. być spojone i złączone, jako teraz i tym sposobem, gdy tobie najjaśniejszy panie, domu jagiellońskiego prawdziwemu potomkowi, w ręce są oddane.

Zyczy ci tedy, najjaśniejszy panie, trybunał koronny, ażeby wszelka dalsza pomysłność, która wspaniałym zamysłem waszej królewskiej mości korrespondować może, pańskiej jego woli zawsze posłuszną była. Niech fortuna gotuje berło, niech ta dostojnością twoją zaszczycona mitra włoży korony, niech najwyższy rządca nieba, na pociechę najjaśniejszemu panu, na ozdobę świata, w niezmierzone lata zdrowia użyczy.

SZCZĄTKI ZAMKU

W PRZEDBORZU.

Handlowe to miasteczko nad brzegiem Pilicy, w gubernii radomskiej, w powiecie opoczyńskim położone, sławne łowami jakie w jego okolicach królowie polscy różnemi czasy odbywali, miało niegdyś zamek a raczej dworzec przez Kazmirza Wielkiego z kamienia wystawiony. W nim to po raz ostatni bawił ten monarcha po wypadku, jaki mu się zdarzył na polowaniu w blisko leżącej wsi Żeleznica, gdy w dniu 9 września 1370 roku spadł z konia, a wskutek tego we dwa miesiące potem chwalebne swoje życie zakończył. „Dzień to był, powiada

REBUS.



Znaczenie rebusa umieszczonego w Nrze 185.

Salambo jest to utwór pełen fantazyi, mający doskonale życie w starej Kartaginie.

W drukarni J. Ungra.—Za pozwoleniem cenzury.